

Po ciężkiej chorobie zmarł 23 grudnia 1968 roku w Stanach Zjednoczonych. Radomianin absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. Człowiek godny szacunku w każdym okresie swego życia. Podczas okupacji niemieckiej więzień-lekarz niósł pomoc towarzyszom niedoli w radomskim getcie, w hitlerowskich obozach zagłady. Był świadkiem w norymberskim procesie zbrodniarzy wojennych. Po wojnie lekarz naczelny obozów uchodźców amerykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec. Praktykował jako lekarz w USA, okazał się — także — utalentowanym malarzem-amatorem. Wydał w Nowym Jorku książkę autobiograficzną, historię zagłady swoich bliskich i radomskich Żydów. Był zawsze oddany rodzinie. Do ostatka pracował, myślał, pisał. Non omnis moriar. Zegnamy Go z takim serdecznym

W-263673-1

rodzina

Dawid Wainapel

BYŁEM
WIĘŹNIEM
OBOZU
KONCENTRACYJNEGO
W
BLIŻYNIE

Przełożyła Agnieszka Jacki

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ BLIŻYNA
BLIŻYN 1991

Recenzent: dr Józef Rell

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Przewodniczący: Stanisław Barański

Członkowie: Bogusława Maria Lukomska

Krystyna Skowron

Maria Sosnowska

Teresa Stańczuk

Projekt okładki: A. Zdzisław Piwnik. Rys. D. Wainapel

Prace kreslarskie: Andrzej Pietrzyk

PRZEDMOWA

Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Bliżyna oddaje w ręce Czytelników interesującą broszurę pt. „Byłem więźniem obozu koncentracyjnego w Bliżynie”. Autorem wspomnień jest — nie żyjący już — dr medycyny Dawid Wainapel, kierownik szpitala obozowego dla Żydów, pochodzący z Radomia. Wydajemy ją dzięki uprzejmości i z upoważnienia Katarzyny Meloch, krewnej Autora książki opublikowanej w USA (w języku angielskim) pt. „From death row to freedom”¹⁾. Tytuł ten w języku polskim można przetłumaczyć: „Od zagłady do wolności”. W wydanej broszurce podajemy ze wspomnianej książki treść jednego rozdziału, dotyczącego obozu w Bliżynie, a przetłumaczonego na język polski przez Agnieszkę Jackl. Słowo wstępne napisała K. Meloch, przybliżając Czytelnikowi postać, życie, i działalność obozową doktora Wainapla. Ilustracje przedstawiające tragiczne sceny z życia obozowego, wykonane zostały osobiście przez Autora prezentowanej książki.

Wydawnictwo nasze ukazuje się w 52 rocznicę wybuchu II wojny światowej, która — jak wiadomo — przyniosła wielkie straty w ludności wielu krajów świata i dobrach ekonomicznych, a zwłaszcza w narodzie żydowskim, zagrożonym przez najeżdżącą hitlerowskiego całkowitą zagładą.

Wspomnienia doktora Wainapla są w naszych wydawnictwach czwartym z kolei opracowaniem²⁾ dotyczącym obozu koncentracyjnego w Bliżynie, a pierwszym odnoszącym się ściśle do więzionej w nim społeczności żydowskiej.

Wydawnictwo niniejsze zrealizowane zostało dzięki przychylności i pomocy udzielonej Towarzystwu przez Wydział Spraw Obywatelskich Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach.

Mając głęboką ujmność, że broszura niniejsza jest następną „cegiełką” wzbogacającą wiedzę o naszej miejscowości, wyrażam słowa podziękowania wszystkim osobom, które przyczyniły się do zrealizowania zamierzeń Zarządu.

Prezes Towarzystwa
Przyjaciół Bliżyna

dr inż. Stanisław Barański

¹⁾ D. Wainapel, *From death row to freedom*, Black Publishing, Inc. USA (Nowy Jork), 1984.

²⁾ Vide: „Wybór materiałów do dziejów Bliżyna”, Bliżyn 1985, s. 121-124; „Notatnik Bliżyński”, t. I, Bliżyn 1986, s. 76-81; „Notatnik Bliżyński”, t. II, Bliżyn 1987, s. 97-100.

SŁOWO WSTĘPNE

(Powrót Dawida Wainapla)

Dawid Wainapel urodził się w Radomiu 14 stycznia 1907 roku w rodzinie polskich Żydów zasiedziającej ponad 100 lat w tym mieście. Jego przodkowie byli lekarzami i felczerami, a ich nazwiska związane są także z rozwojem radomskiego garbarstwa.

Matka Dawida Wainapla, siostra rodzona matki mego ojca, Reginy Meloch, złota medalistka gimnazjum, cieszyła się autorytetem w rodzinie, zasłużyła sobie na opinię mądrej kobiety. Dawid był dzieckiem klasy średniej, wychowywał się w „światłym” domu mieszczańskim, gdzie mówiło się po polsku, ale święta obchodzono — żydowskie, nie wyrzekano się swego rodowodu.

W roku 1930 uzyskał Dawid dyplom lekarski na Uniwersytecie Warszawskim. Miał wówczas dwadzieścia trzy lata.

Młody doktor medycyny praktykował w Radomsku, gdzie jego ojciec był współwłaścicielem fabryki mebli giętych.

Rodzinie Dawida, jego rodzicom, ukochanemu bratu, kuzynom, ciotkom i wujom — niełatwo było w warunkach kryzysu wiązać koniec z końcem. Młodziutki lekarz w pewnym okresie pomagał materialnie aż jedenastu krewnym.

Po wybuchu II wojny światowej przeniósł się wraz z rodzicami do rodzinnego Radomia. Prowadził szpital w radomskim getcie. Stworzył go z niczego, przy pomocy najskromniejszych środków, zebranych od mieszkańców getta, i ubożuchnej aparatury medycznej, podarowanej przez kolegów lekarzy. W szpitalu także poznał przyszłą kobietą swego życia, Sabę Wulkan, pielęgniarkę.

Od pierwszego dnia wojny miał Dawid Wainapel oczy otwarte na nazistowskie zbrodnie. Jakby przeczuwał, że przyjdzie mu zostać świadkiem o tych zdarzeniach.

Pojechał z ramienia radomskiego Judenratu z grupą Żydów skazanych na pobyt w obozie w Chmielniku. Niemcy nazywali tę akcję deportacją kryminalistów. Wtedy, w roku 1940, po raz pierwszy towarzyszył ludziom wiezionym bydłecy wagonami, jadącymi bez wody i jedzenia, bez urządzeń sanitarnych. Widział więc „próbę generalną” przed zainstalowaniem obozów śmierci i realizacją tak zwanego „ostatecznego rozwiązania” kwestii żydowskiej. Poznał także pierwsze obozy zagłady na ziemiach polskich, rozrzucone na granicy niemiecko-radzieckiej.

W czasie wielkiej deportacji radomskich Żydów do Trebłinki udało mu się uratować swoją liczną rodzinę niemal w całości. Niestety — nie na długo.

Wiosną 1943 roku został wysłany do obozu w Bliżynie. Miał tam zorganizować coś w rodzaju szpitala, oczywiście szpitala według możliwości obozowych.

Pod jego nieobecność w Radomiu, 21 marca (23?) 1943 roku, podczas tak zwanej akcji „Palestyna” w dniu żydowskiego święta Purim na żydowskim cmentarzu w Szydłowcu stracono prawie wszystkich członków radomskiej rodziny mego ojca.

Miesiąc później Dawid ożenił się z Sabą Wulkan. Żona pojechała za nim — i dla niego — do obozu koncentracyjnego.

W lipcu 1944 roku wraz z więźniami bliżyńskiego obozu został deportowany do Oświęcimia.

Więzień — lekarz, sam skazany na śmierć jak każdy Żyd w Polsce, niósł pomoc towarzyszom niedoli w radomskim getcie i w hitlerowskich obozach zagłady. Niejeden więzień ocalony od śmierci zawdzięczał jemu życie. Nad nim z bliska i z daleka czuwała jego żona.

Był Dawid Wainapel mężczyzną trzydziestoosmioletnim, kiedy wędrował z oświęcimskimi więźniami w nie kończącym się marszu pod okiem esesmanów i w zasięgu niemieckich karabinów maszynowych. Udało mu się jednak uciec.

Wolny, próbował wrócić do Radomska, lub do Radomia, ale w żadnym z tych miast nie mógł zagrzać miejsca. Brak tam było już kogokolwiek z jego rodziny. Wyjechał stamtąd do Łodzi. Zmienił nazwisko, gdyż niebezpiecznie było w tuż powojennej Polsce być Żydem.

Pewnego dnia na ulicy przypadkiem spotkał swoją żonę, o której losach nie wiedział nic od oświęcimskich czasów. Po kieleckim pogromie oboje postanowili opuścić Polskę na zawsze.

W amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec, Dawid Wainapel, został naczelnym lekarzem obozów dla uchodźców. Występował jako świadek w procesie zbrodniarzy wojennych w Norymberdze. Jego zeznanie i innego radomianina sprawiły, że hitlerowski generał, Herbert Böttcher, morderca radomskich Żydów, został przekazany polskiemu sądownictwu i wkrótce potem — powieszony w miejscu swych zbrodni.

W Niemczech urodził się starszy syn Wainaplów, któremu nadano imiona straconego brata i ojca Dawida. W 1946 roku wyemigrował Wainapel wraz z rodziną do Stanów Zjednoczonych. Wkrótce osiedlił się pod Nowym Jorkiem w niewielkim mieście — Ellenville. W nowym środowisku szybko stał się popularnym lekarzem i mógł realizować marzenia młodości: malował i wystawiał obrazy. Jego prace malarskie przywędrowały do Polski. Miasteczko Ellenville z jego obrazów przypomina Kazimierz nad Wisłą.

W roku 1984 ten Amerykanin z wyboru, z Radomia rodem, wydał w Nowym Jorku książkę autobiograficzną pt. „From death row to freedom” („Od zagłady — do Wolności”), „Drogą śmierci — do wolności”)... W tym samym roku wyjednał medal izraelskiego Instytutu Pamięci Narodowej „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” dla doktora medycyny Jerzego Borysowicza, Polaka, bardzo zasłużonego w ratowaniu radomskich Żydów.

Dawid Wainapel zmarł 23 grudnia 1988 roku w Stanach Zjednoczonych. Był zawsze oddany rodzinie. Do końca życia pracował, myślał, pisał. „Non omnis moriar” — „Nie wszystek umrę” głosił nekrolog drukowany w „Życiu Warszawy”.

Książka doktora Wainapla jest historią zagłady jego bliskich, a także dokumentem męczeństwa radomskich Żydów i jego osobis-

tej walki o ocalenie. Autor napisał ją dla synów, aby pamięć o zagładzie Żydów przekazali następnym pokoleniom.

Opowieść ilustrowana jest oryginalnymi rysunkami autora. Pamiętnik rodzinny przetłumaczyła na język polski Agnieszka Jackl, wnuczka Maksymiliana Meloacha, historyka polskich powstań narodowych, kuzyna i przyjaciela Dawida Wainapla. Książka jest rozrachunkiem z bolesną przeszłością.

Z nie drukowanej jeszcze w Polsce tej książki został wyjęty rozdział pt. „Obóz w Bliżynie” i przygotowany do druku przez Towarzystwo Przyjaciół Bliżyna. „K. L. Bliżyn” był jedynym obozem koncentracyjnym w tak zwanym dystrykcie radomskim. Niewiele on zajmuje miejsca w historiografii i mało jest znany społeczeństwu.

Relacja Dawida Wainapla przypomina jak się żyło i umierało w obozie bliżyńskim; nie pozwoli zapomnieć imion nazistowskich zbrodniarzy wojennych, ani twarzy obozowych askarów; bezsilności i dokonań obozowej medycyny oraz wszystkich odmian cierpienia i umierania.

W roku 1954 pisał A. Rutkowski w „Biuletynie Żydowskiego Instytutu Historycznego” w artykule pt. „O kulisach paryskiego procesu”: „Wiosną 1942 roku przechodzi przez getta dystryktu radomskiego, podobnie jak w całej Generalnej Guberni, fala mordów kapturowych, dokonywanych na aktywistach politycznych i społecznych (...). Hitlerowcy postanowili bowiem — przed przystąpieniem do masowej zagłady ludności żydowskiej — pozbawić ją jej przywódców, potencjalnych organizatorów oporu i walki. W gettach dystryktu radomskiego Żydzi nazywali tę falę mordów „akcją purymową”.

W wyniku tej akcji wiosną 1942 roku uległa zagładzie żydowska inteligencja Radomia, w tym prawie wszyscy członkowie rodziny mego ojca, ale Dawid Wainapel przeżył i pozostawił świadectwo o tej zbrodni.

Gdy Dawid Wainapel opuszczał Polskę, by nie zobaczyć jej nigdy więcej, nie wiedział, że... wróci do niej po śmierci, jako autor ważnej dla Polaków książki, że będzie w Polsce obecny doświadczeniem swego życia i prawdą — nie tak dawną — wspólną przeszłości.

Katarzyna Meloach

BYŁEM WIĘZNIEM OBOZU KONCENTRACYJNEGO w BLIŻYNIE



Dawid Wainapel

Bliżyn był małą wsią rolniczą¹⁾. Niemcy zajęli dworek drobnego szlachcica²⁾ polskiego, zamienili go na biuro obozowe i mieszkanie komendanta obozu, który prawdopodobnie uważał się za „pańa na dworze”. Rzeczywiście był absolutnym władcą trzech do czterech tysięcy więźniów, zaś my więźniowie byliśmy jego niewolnikami, pozbawionymi jakichkolwiek praw. Mógł zabić każdego z nas i zabijał jeżeli miał taki kaprys. Swym kohortom niemieckim lub ukraińskim rozkazał także zabijać więźniów, torturować ich albo karać publiczną chłostą za każde rzeczywiste czy urojone wykroczenie, takie jak niedość intensywna praca — przy głodowej diecie składającej się z miski zupy ze zgniłych liści kapusty i z paru uncji³⁾ chleba.

Takie jedzenie, dwanaście godzin ciężkiej pracy dziennie i tyfus plamisty sprawiły, że ludzie umierali całymi setkami, a w końcu tysiącami. Niektórzy więźniowie prawie nie mogli się poruszać, ponieważ byli chudzi jak szkielety albo spuchnięci z głodu i umęczeni nieustanną biegunką. Odkryliśmy zresztą, że Bliżyn miał już swą tradycję. Podczas sprzątnia baraków znaleźliśmy setki sowieckich mundurów wojskowych, pokrytych milionami martwych wszy

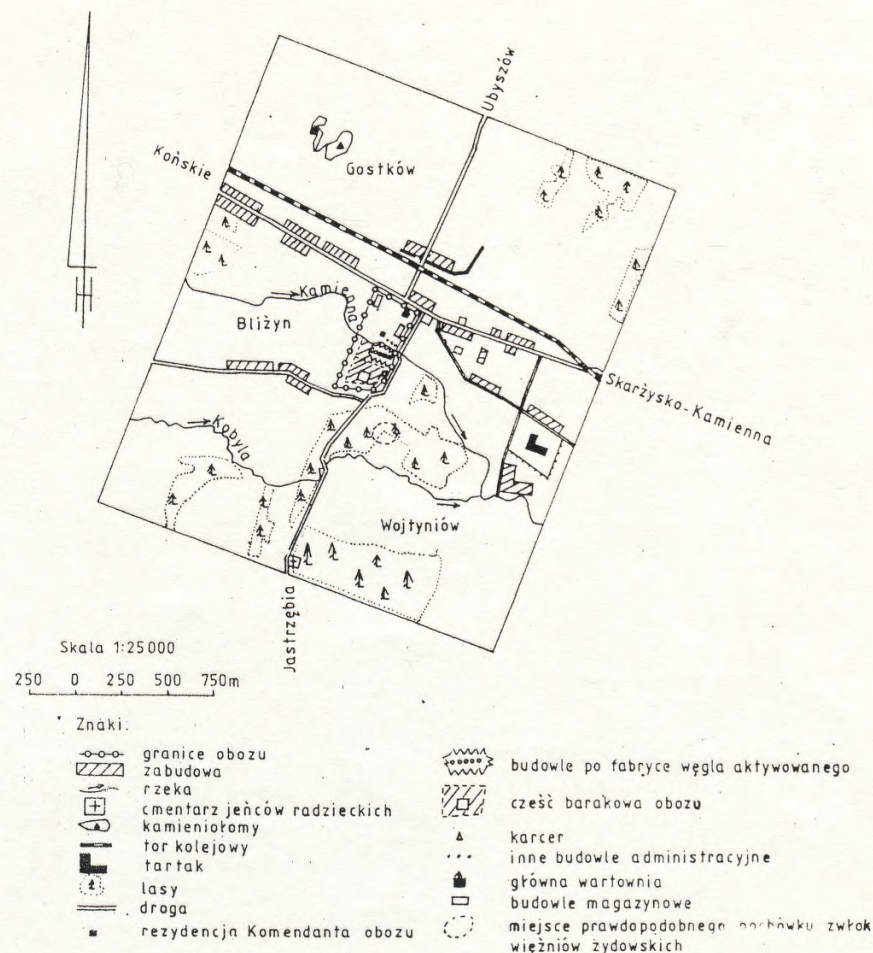
i gnid. Wszystkich jeńców wojennych zabito⁴⁾ i pochowano we wspólnych grobach w pobliżu obozu. Sam obóz był otoczony drutem kolczastym. Wieże strażnicze obsadzili ukraińscy kolaboranci⁵⁾ w czarnych mundurach, uzbrojeni w karabiny maszynowe. Niemcy nazywali ich askarami, jak czarnych żołnierzy w Afryce w czasach kolonialnych XIX wieku, kiedy to biały człowiek był ich panem i władcą. Nigdy nie widziałem podobnej bandy podstępnych złodziei i szubrawców.

Byłem przerażony i przybity. Obóz miał bardzo złą opinię. Komendant, Sturmführer SS Paul Nell, znany sadysta, własnoręcznie zabijał ludzi za najłżejsze przewinienia. Przed moim odjazdem z Radomia można było usłyszeć o ostatnim przypadku: kilkunastoletni chłopak przywłaszczył sobie świecę, za co Nell natychmiast go zastrzelił. Nic też dziwnego, że z rodzicami, bratem i krewnymi rozstawaliśmy się we łzach. Wszyscy byli przekonani, że z obozu nie wyjdą żywi. Ja także nie spodziewałem się zobaczyć jeszcze moją rodzinę. Tak też właśnie się stało (...).

Kiedy przybyłem do obozu, zaprowadzono mnie do biura. Kilku Żydów pracowało tam w charakterze urzędników, ale bali się ze mną rozmawiać, a nawet mnie zauważyć. Po chwili Nell wszedł do biura. Był mężczyzną po czterdziestce o twarzy tak brzydkiej, że aż przypominała — bez przesady — pysk psa, który wciąż warcząc pokazuje zęby. Był w mundurze SS ze swastyką na kołnierzu. Musiałem stać na baczność, kiedy Nell chodził dookoła mnie z biczem w rękę, mierzając mnie od góry do dołu. Zapytał: „Czy naprawdę jesteś lekarzem”? Odpowiedziałem: „Tak proszę pana”. „Otwórz walizkę”. W małej walizce miałem kilka rzeczy: szczotkę, grzebień, przybory do golenia, pastę do zębów i zmianę bielizny. Przejrzał wszystko i kazał komuś sprawdzić moje kieszenie. Nie znaleźli pieniędzy, gdyż zwinięty banknot ukryłem w węźle krawata.

Potem zabrano mnie do właściwego obozu. Mieścił się on na gruntach należących do majątku, otoczonych drutem kolczastym i wieżami strażniczymi. Ukraińscy kolaboranci obserwowali nas dwadzieścia cztery godziny na dobę. Właściwy obóz składał się z kilku baraków i jednego małego domku z cegły cztero czy pięciopokojowego. Miałem go przekształcić w ambulatorium, izbę pierwszej pomocy i salę operacyjną.

SZKIC PRZEGLĄDOWY
OBOZU KONCENTRACYJNEGO W BLIŻYNIE



Obóz był w początkowym stadium organizowania. Liczył może stu więźniów, którzy stawiali drugie ogrodzenie z drutu kolczastego. Sypiali w barakach podobnych do stajni, na półkach przykrytych odrobiną słomy. Było tam kilka kobiet. Wszystkie pracowały w kuchni. Obierały kartofle i gotowały jedzenie, to jest wodnistą zupę z kartofli i końskiego mięsa. W zupie pływały pojedyncze liście kapusty, a można było uważać za szczęście, jeśli znalazło się w niej jednocalowy kawałek mięsa. Cienka porcja chleba dopełniała dzienną rację. Zaproszono mnie do udziału w jedzeniu skradzionego kartofla, który — pokrajany w plasterki prawie przezroczyste — został upieczony na żelaznym piecu w charakterze frytek.

Następnego dnia o szóstej rano — po dwóch czy trzech godzinach stania na obozowym placu — zaczął się apel. Było to 21 marca 1943 roku, pierwszy dzień wiosny i święto Purim⁶⁾. Mam powód, by nigdy nie zapomnieć tej daty. Po wielokrotnym przeliczeniu nas nadszedł czas na egzekwowanie kary. Jeżeli doniesiono, że ktoś nie pracował wydajnie albo przez chwilę nie było go w pracy czy coś w tym rodzaju, Nell decydował, jaka kara spotka więźnia. Przeważnie dostawało się dwadzieścia pięć razów końskim biczem na goły tyłek. Czasami dochodziło aż do pięćdziesięciu. Chłostę wykonywano publicznie, w obecności wszystkich więźniów, którzy stali na baczność z odkrytymi głowami.

Nell wywołał mnie z szeregu i rozkazał, bym meldował o każdym przypadku tyfusu w obozie. Wciąż nie pojmuję, jak się zdobyłem na odwagę, żeby powiedzieć: „Pan wybaczyć, ale nigdy nie zgłoszę żadnych przypadków tyfusu”. Zwykle, gdy Żyd okazywał nieposłuszeństwo bito go albo natychmiast zabijano. Byliśmy niewolnikami czy nawet czymś niższym od niewolników i jako tacy pozostawaliśmy poza prawem. Nell przystanął, popatrzył na mnie chłodno i zapytał: „Dlaczego”? Odpowiedziałem, że wiem, iż wszyscy chorzy na tyfus w obozach koncentracyjnych są natychmiast zabijani i wobec tego nie mogę zgłaszać chorych na tyfus, wiedząc, że ci ludzie zostaną zabici. Powiedziałem mu także, że chorzy będą się bali zwracać do mnie o pomoc, będą wolli ukrywać chorobę tak, że epidemia będzie się nadal rozszerzać. Jeśli natomiast otrzyma zapewnienie, że żaden pacjent nie zostanie zabity, to zwalczę epidemię. Nell patrzył na mnie przez kilka minut, po czym od-



Ryc. 3. Budowle z okresu oboźwego. Fot. M. Musiał.



Ryc. 4. „Zameczek”, rezydencja komendanta obozu.
Fot. Stanisław Szumielewicz.



Ryc. 5. Pomnik zamordowanych więźniów obozu
i poległych partyzantów. Fot. Fr. Gładysz.

wrócił się i odszedł. Z wyjątkiem jednego chorego na tyfus, który stracił nogę na skutek gangreny, nie zabił w obozie żadnego pacjenta. I muszę powiedzieć, że szanował mnie od tamtej pory.

W tym samym dniu — czyli 21 marca 1943 roku ⁷⁾, jak się później dowiedziałem, było piekło w radomskim getcie. Niemieckie ciężarówki wyjechały na teren getta, a Niemcy kazali zameldować się natychmiast wszystkim Żydom, żydowskiej inteligencji i tym wszystkim, którzy przedtem zarejestrowali się na wyjazd. Rozeszła się pogłoska, że mają być wysłani do Palestyny. Potwierdzał ją doktor Szenderowicz, szef żydowskiego samorządu getta. Ludzie walczyli, aby dostać się do ciężarówek i matki wpychały do nich swoje małe dzieci. Wkrótce ciężarówki były pełne. Znalazła się tam cała moja rodzina: rodzice, brat ze swoją małą córeczką, trzech kuzynów, dwóch wujów, dwie ciotki. Jedna z sióstr mojej matki, która się nie zarejestrowała, wpełnęła do ciężarówki swoją dziesięcioletnią córkę. Do ciężarówki wpełnięto także ośmioletnią córkę mojej kuzynki, która w tym czasie, jak się później dowiedzieliśmy, była w Oświęcimiu. Raptem inna ciężarówka dołączyła do konwoju. Jechali nią żołnierze ukraińskich wojsk posiłkowych z karabinami maszynowymi i łopatami. Wtedy wszyscy zrozumieli szatański podstęp niemiecki. Ludzie wpadali w panikę, ale było już za późno.

Konwój wyjechał i posuwał się w kierunku cmentarza znajdującego się w małej miejscowości, 20 — 30 mil od Radomia ⁸⁾. Były tam już przygotowane otwarte groby. Niemcy kazali się wszystkim rozebrać.

Ocalało tylko dwóch czy trzech ludzi. Jedną z ocalałych była kuzynka mojej bratowej, dziś profesor biochemii w mieście Hershey w stanie Pensylwania. Mój brat ze swoim dzieckiem w ramionach poszedł w pierwszej grupie. Na pożegnanie pomachał ręką rodzicom i na ich oczach został zastrzelony z karabinu maszynowego. Jeden z moich młodych kuzynów, dwudziestojednoletni, wyskoczył z ciężarówki i został zabity na miejscu. Doktor Fried, młody połącznik, skoczył ku grupie żołnierzy z gołymi pięściami, ale zastrzelili go zanim do nich dotarł.

Mój ojciec wrzasnął na Ukraińców po rosyjsku: „Mordercy, jeszcze psy będą piły waszą krew”! Podtrzymywał moją matkę chorą i omdlewającą. Razem poszli do grobu. Oto jak zostałem opuszczony,



Ryc. 6. Egzekucja więźniów w obozie. Rys. D. Wainapel

pozostałem zupełnie sam, a moja rodzina zginęła. Nie wiedząc o tym napisałem list, który miał być przeschmuglowany do getta, do moich rodziców, żeby zrobili co tylko mogą, aby wyciągnąć mnie z Bliżyna.

Kilka dni później przysłano do naszego obozu paru ludzi z radomskiego getta. Policjant żydowski (tak, mieliśmy żydowską policję w obozie) spotkał się z nimi zanim przeszli obozową kontrolę i wrócił błdy. Powiedział, że coś strasznego zdarzyło się w getcie. Nowi więźniowie opowiedzieli mu, że wszystkich Żydów, którzy się zarejestrowali na wyjazd do Palestyny, zabito karabinami maszynowymi i pochowano w niewielkiej miejscowości, w Szydłowcu. Byliśmy zaszokowani i nie mogliśmy w to uwierzyć. Każdy miał nadzieję, że jego rodzina jakimś cudem ocalała.

Kiedy nowi więźniowie nadeszli, otoczyliśmy ich ze wszystkich stron i zasypaliśmy pytaniami. Spytałem o moją rodzinę i usłyszałem, że wszyscy moi bliscy zginęli. Nie mogłem się z tym pogodzić. Sądziłem, że żyje przynajmniej mój brat. Był młody i zdrowy. Ale przybysze z Radomia wyjaśnili mi, że nie było wyjątków. Nie mogłem płakać, byłem zupełnie ogłuszony. Zataczałem się jak pijany. Miałem ściśnięte gardło, a okropny ból żołądka zgiał mnie wpół.

Nie będę się wdawał w szczegóły, bo to wspomnienie już mnie nie dręczy. Prawie udało mi się wymazać je z pamięci, w przeciwnym razie nie mógłbym przeżyć. Wówczas wcale nie płakałem, natomiast zaczęło we mnie narastać poczucie winy. Była wczesna wiosna, drzewa otaczające obóz pokryły się żółtawo-zielonymi liśćmi, ptaki śpiewały, jakby nie stało się nic strasznego. Czułem się winny, że w dalszym ciągu mogę być świadkiem cudownego przebudzenia natury i oddychać świeżym powietrzem. Nieustannie zadawałem sobie pytanie: „Dlaczego ja mogę wciąż widzieć wiosnę, dlaczego nie może jej widzieć mój brat, moi rodzice, dziecko brata”? Nie mogłem ani zrozumieć, ani uznać oczywistych faktów. A Niemcy nie zostawili mi zbyt dużo czasu na myślenie i to — być może — pomogło mi pozostać przy zdrowych zmysłach.

Pierwsi więźniowie Bliżyna pochodzili z Radomia, Kielc, Tomaszowa, Piotrkowa, Częstochowy. Było także kilka młodych dziewczyn z Holandii, paru niemieckich Żydów z Berlina i jedna rodzina żydowska z argentyńskim obywatelstwem.

Niemiecki Żyd z Berlina opowiedział mi, jak gestapowcy przyszli, żeby go aresztować. Oświadczył im dumnie, że podczas I wojny światowej służył w wojsku i wstawił się odwagą. Pokazał im Żelazny Krzyż, najwyższe niemieckie odznaczenie bojowe. Krzyż rzucili na podłogę i zmiażdżyli butami. Potem bezlitośnie pobili tego człowieka i zabrali go wraz z żoną i córką do obozu koncentracyjnego.

Rodzina argentyńska podała swą narodowość i zażądała spotkania z ambasadorem albo konsulem Argentyny. Zabrano ich z obozu i rozstrzelano.

Pewnego dnia na apelu brakowało dwóch ludzi. Godzinami liczono nas i przeliczano od nowa, a w tym samym czasie żydowscy policjanci i niemiecka policja obozowa szukała tych dwojga. W końcu znaleźli parę młodych ludzi z Tomaszowa, którzy schowali się w piwnicy i usiłowali popełnić samobójstwo podcinając sobie żyły. Niemcy rozkazali nam zaopiekować się nimi. Byliśmy przekortani, że gdy dojdą do siebie zostaną surowo ukarani albo zabici. Jednak nic złego ich wówczas nie spotkało. Niemcy byli pewni, że i tak nie przeżyją...

Żydowski policjant, Rothenberg, porządny człowiek, który nigdy nie uderzył więźnia i podtrzymywał nas na duchu różnymi żartami, któregoś dnia udawał, że jest bardzo poważny, kiedy rachował nas na apelu. Zamiast liczyć jak zwykle: „jeden, dwa, trzy...” liczył po żydowsku, szeptem mówiąc: „Oni sko-nają,, spa-lą się w pie-kle”. Miał przy tym bardzo poważną minę. Trzeba było sporego wysiłku, żeby się nie roześmiać.

Pewnego dnia Rothenberg wybrał kilku więźniów i kazał im maszerować w kierunku bramy wyjściowej obozu z odkrytymi głowami. Kiedy stanęli tam na baczność, on przy bramie zameldował esesmanom: „Komendant rozkazał, by sześciu mężczyzn poszło do pracy w kamieniołomie”⁹⁾. Esesmani machnięciem ręki przepuścili ich i już nigdy więcej nie zobaczyliśmy tych więźniów w obozie. Pomógł im uciec. Po wielu latach spotkałem Rothenberga w Nowym Jorku.

Moi pacjenci chorowali na tyfus, byli zamorzeni głodem, pobici, ranni, toteż miałem pełne ręce roboty. Nell codziennie sprawdzał, ilu jeszcze chorych leży na podłodze i jak posuwa się organizowanie

ambulatorium. Musieliśmy pomalować pokoje i podłogę. Niemcy oczywiście nie dostarczali nam żadnych niezbędnych do tego materiałów.

Zrobiliśmy waciki gazowe z firanek pozostawionych w magazynach, które były pełne rzeczy skonfiskowanych w żydowskich domach. Firanki pocięliśmy w kwadraty i wysterylizowaliśmy przez gotowanie. Dostaliśmy trochę podstawowych lekarstw i narzędzi lekarskich z radomskiego getta.

Kazałem spalić całą słomę z baraków, a baraki okadzić siarką. Odtąd więźniowie musieli spać na twardych deskach, ale epidemia na czas jakiś została opanowana. Zorganizowałem prymitywne urządzenia do kąpieli i piec do dezynfekcji ubrań i bielizny. Podzieliłem ludzi na grupy. Każda grupa musiała kąpać się raz na tydzień i co tydzień podlegała odwszeniu. Przyjmowałem pięćdziesięciu do sześćdziesięciu pacjentów dziennie w ambulatorium, sprawdzałem czystość kucharzy, wizytowałem codziennie wszystkie baraki i targowałem się z Nellem, by dostać nieco więcej kartofli dla więźniów. Zdobyłem nawet trochę drożdży, hodowałem je i dawałem pacjentom cierpiącym na awitaminozę. W końcu między mną a Nellem rozwinęło się coś na kształt symbiozy. Zaczął okazywać mi coś w rodzaju szacunku. Noce były dla mnie okropne, bo ból żołądka nie ustawał.

Saba, która była wciąż w getcie, zdołała w jakiś sposób przesłać mi trochę papierosów. Byliśmy w kontakcie i zdecydowaliśmy się wziąć ślub. Było to poświęcenie z jej strony, ponieważ musiała opuścić getto i dobrowolnie pójść do obozu koncentracyjnego. Być może, że jest to jedyny tego rodzaju przypadek w historii obozowej. Niesłychane było i to, że Nell pozwolił mi na opuszczenie obozu i zawarcie małżeństwa. Zabrano mnie do getta ciężarówką pod eskortą. Wzięliśmy ślub i po dwóch godzinach tą samą ciężarówką wróciliśmy do obozu. Prawie z nikim nie rozmawiałem w getcie. Rana po stracie rodziny była zbyt świeża i po prostu nie mogłem mówić. Moją rodzinę zamordowano 21 marca, a my wzięliśmy ślub 27 kwietnia 1943 roku.

Opiszę moją ślubną odzież, choć nie przywiązywałem do niej wagi. Nosilem wysokie buty, wiatrówkę uszytą z szarego koca i dopasowane do niej szerokie spodnie. Na miodowy miesiąc udaliśmy

się do obozu koncentracyjnego. Saba zabrała parę sukienek i jedną zmianę bielizny.

Kiedy przybyliśmy do obozu, było ciemno i nasza walizka została w biurze. Nie zobaczyliśmy jej nigdy więcej. Ukraińcy rozkradali wszystko.

Następnego dnia Nell z owczarkiem niemieckim — Paszą i batem u boku, przyszedł jak co dzień do budynku lekarskiego. Oglądał świeżo poślubioną panią Wainapel, a pod nią uginały się nogi. Nośła bardzo skromną sukienkę, długie włosy miała zaplecione w dwa warkocze. Nell dopytywał się głosem pełnym powątpiewania, czy rzeczywiście jest wykwalifikowaną pielęgniarką, po czym odszedł. Saba nigdy nie przezwyciężyła strachu przed Nellem.

Każdego dnia na apelu, który zaczynał się o szóstej rano, Nell wywoływał mnie, a ja — bieglem, stawałem na baczność i meldowałem liczbę chorych, liczbę zgonów i tak dalej. Saba nie mogła przywyknąć do tej procedury. Stała biała między kobietami, bojąc się, że w każdej chwili Nell może mnie zabić.

Parę dni po jej przybyciu Nell przyszedł niespodziewanie do ambulatorium (lubił pojawiać się znienacka, żeby sprawdzić co ludzie w tym czasie robią). Zastał Sabę z miotłą i ścierką; szorowała podłogę. Był wyraźnie zdziwiony; widocznie nie oczekiwał niczego takiego po żonie lekarza. Niemcy nigdy nie tytułowali więźniów, nie wracali się też do nas „pan” czy „pani”, nic takiego się nie słyszało, a on powiedział: „Frau Doktor, nie musi pani tego robić, są tu inni ludzie do szorowania podłóg”. Odtąd traktował nas oboje z pewnym respektem, a ja mogłem wyciągnąć od niego więcej jedzenia dla więźniów czy też uzyskać środki niezbędne do utrzymania czystości i przyzwoitego wyglądu ambulatorium.

Tymczasem coraz więcej ludzi przybywało z innych miast. Dopóki mieliśmy kilkuset więźniów, mogliśmy sobie poradzić z głodem i tyfusem. Oczywiście, zabijanie nie ustawało. Pewnego dnia na przykład brakowało jednej osoby na apelu. Musieliśmy stać na baczność dwie godziny, kiedy oni liczyli nas i przeliczali w nieskończoność. Sprawdzili baraki i wszystkie obozowe zakamarki. W końcu zdali sobie sprawę, że ktoś uciekł. Sprawę załatwiono natychmiast. Jeden z żydowskich policjantów obozowych miał zostać za to od razu zabity.



Ryc. 7. Egzekucja w obozie. Rys. D. Wainapel.

Nell pozwolił im wybrać spośród siebie jednego z policjantów. Podczas gdy dziesięciu czy piętnastu stłoczyło się razem nie mogąc dokonać wyboru, najstarszy z nich, Martofel, zgłosił się dobrowolnie na śmierć. Miał około czterdziestu lat i był ostatnim ocalałym przedstawicielem swojej wybitej rodziny. Kształcił się na Uniwersytecie Berlińskim, mówił doskonale po niemiecku. Uważał, że młodszy policjant (osiemnastoletni) będzie miał nieco większą szansę, by przeżyć. Inni policjanci sprzeciwiali się jego decyzji i proponowali ciągnięcie losów. Nie zgodził się na to. Natychmiast zabrano go i rozstrzelano. Cała sprawa zajęła dziesięć czy piętnaście minut. Później Nell rozkazał zabijać dwóch ludzi za każdego uciekiniera. Zginęło przez to sporo ludzi.

Muszę wspomnieć o kilku innych postaciach z Blizyna.

Zastępcą komendanta był Untersturmführer Ludwig. Wysoki, przystojny, nie podnoszący głosu mężczyzna. Przypominał trochę Eddiego Alberta¹⁰⁾. Nigdy nie widziałem go w gniewie. Nawet wyroki śmierci wydawał spokojnym głosem, nie zmieniając przy tym wyrazu twarzy. Zawsze był dla mnie bardzo uprzejmy. Któregoś dnia rozkazał skonfiskować więźniom wszystkie zegarki, ale mój pozwolił mi zatrzymać, uznając argumentację, że jest to dla lekarza niezbędne narzędzie pracy.

W miarę gdy sytuacja na froncie wschodnim pogarszała się, Niemcy zaczęli wysyłać tam niektórych oficerów SS. Pewnego razu po apelu, gdy wszystkich więźniów już przeliczono i odprawiono, Ludwig wziął mnie na stronę i zapytał niskim, miękkim głosem, jakie są objawy choroby angina pectoris. Powtórzył kilka razy wszystko to, co mu powiedziałem. Na zakończenie rozmowy z własnej woli powiedział, że potrzebuje tych danych, aby udawać ciężko chorego, by nie został posłany na front wschodni! Nie potraktował mnie jak swego powiernika, raczej czuł, że mówi do kogoś bez znaczenia.

Był także Unterscharführer Zlotosch, podoficer. W wyniku zranienia na froncie wschodnim, dwa palce lewej ręki miał sztywne. Kontuzja zapewniała mu „lekką pracę” w obozie koncentracyjnym. Był bardzo przystojny, miał piękne złociste włosy układające się w fale, niebieskie oczy i wspaniałe zęby. Bardzo szorstki dla więźniów, bił ich przy byle jakiej okazji albo bez powodu. Jednocześnie

starał się być miły dla mnie i dla Saby. Wpadał wieczorami na pogawędkę do mojego małego pokoju. Tłumaczył mi po przyjacielsku, że wszyscy Żydzi to potwory i kryminaliści; był pewny, że bogaci Żydzi (a Żydzi w większości byli bogaci) porywali aryjskie panny, gwałcili je i trzymali w piwnicach zakute w ciężkie łańcuchy ku swojej uciechu, by potem je zabić. Opowiedział nam wiele podobnych historii. Byliśmy z nim tak spoufalerzeni, że mogliśmy mu powiedzieć, że jest idiotą i zapłaci wysoką cenę, gdy Niemcy przebijają wojnę. Nasza przepowiednia spełniła się po wojnie, kiedy został uwięziony i spędził wiele lat za kratami. Jego dziewczyna znalazła jakoś mój adres i napisała do mnie prosząc, bym dobrowolnie zgłosił się na świadka jego obrony i zeznał, jak dobry był dla więźniów!

SS rządziła obozem, ale warsztaty były pod nadzorem cywilnych członków partii nazistowskiej. Niektórzy z nich mieli niesamowite poczucie humoru!

Pewnego razu mnie i doktorowi Milsteinowi kazano natychmiast zameldować się w biurze. „Natychmiast” znaczyło, że musieliśmy szybko pójść do tak zwanego dworu. Kiedy przybyliśmy na miejsce, spostrzegliśmy kierownika warsztatów stojącego na ganku z drugim nazistą. Ich twarze pociemniały z gniewu, oczy miały iskry. Jeden z nich wrzasnął do nas: „Swinie, zostaniecie zastrzeleni natychmiast!” Jak byście zareagowali na taki wyrok?... Jestem pewien, że pobledliśmy, ale poza tym staliśmy bez słowa. Byliśmy zbyt osowoczeni z groźbą śmierci, aby się załamać. Nastąpiła minuta albo dwie ciszy, a potem obydwaj naziści wybuchnęli śmiechem, i zakończyli frazę... „mit Katzendreck”; — (... kocim gównem)! Nie mogli przestać się śmiać i odprawili nas machnięciem ręki.

Któregoś dnia nowa grupa przybyła z getta. Ci ludzie wyglądali żałośnie. Byli jak żywe kościotrupy; nie mogli chodzić, mieli spuchnięte twarze, spuchnięte nogi. Okryci byli łachmanami. Niemcy wręczyli im łopaty i kazali kopać dla siebie groby. Okazywali oni zupełną obojętność i pracowali powoli. Potem inni więźniowie dali im trochę chleba. A ci usiedli nad grobem i żuli chleb a ich twarze były bez wyrazu, bez śladu uczuć. Następnie zabito ich i pochowano na miejscu. Podobne przypadki zdarzały się zbyt często, aby je opisywać. Było nam znacznie gorzej niż niewolnikom w dawnych wie-

kach. Nie mieliśmy żadnych praw. Każdy Niemiec mógł nas zabić w każdej chwili, naprawdę nie byliśmy im do niczego potrzebni. Wiedzieliśmy, że jesteśmy skazani na śmierć.

Któregoś dnia bydlęcym pociągiem przywieziono około trzech tysięcy ludzi z Białegostoku. Było w tym transporcie pięciu czy sześciu lekarzy, jeden z nich był moim dawnym kolegą z klasy. Do tychczas mieliśmy trzech lekarzy, faktycznie dwóch i jednego studenta medycyny z Montpellier. Teraz przybyło trzech chirurgów, trzech doktorów wszech nauk lekarskich, parę pielęgniarek i jeden felczer (odpowiednik współczesnego asystenta lekarskiego). Jeden z lekarzy był grubo po siedemdziesiątce i już nie praktykował. Jeden z chirurgów, ponad pięćdziesięcioletni był przed wojną „grubą rybą” i nie mógł się przyzwyczaić do nowej sytuacji. Nell nie lubił go od pierwszej chwili i posłał go do kamieniołomu, aby ciężkim kilofem tłukł kamienie. Trzeba było dużo wysiłku, aby wydostać go z kamieniołomu; w ambulatorium jednak nigdy nie pracował.

Mieliśmy prymitywną salę operacyjną. Stał w niej prawdziwy stół operacyjny i było trochę instrumentów. Mogliśmy wykonywać pewne zabiegi chirurgiczne, na przykład operować ostre zapalenie wyrostka robaczkowego bez groźby śmierci pacjenta. Jednego z pacjentów, chorego na ostrą jaskrę, operował doktor Citron, obecnie mieszkaniec Tel-Awiwu. Potrzebował specjalnego małego noża. Zrobił go jeden z naszych ślusarzy. Doskonale go wypolerował i zaostriął.

Pewnego razu dobiegł nas zgiełk spoza drutów kolczastych. Niemcy, biegnąc wnieśli do naszej sali operacyjnej jednego ze swych ludzi. Wpadł on w zasadzkę¹¹⁾ urządzoną przez partyzantów i został postrzelony w brzuch. Był w szoku; Nell kazał nam go operować, aby ocalić mu życie. Z początku sprzeciwiłem się, oświadczając, że żydowskim lekarzom nie wolno dotknąć aryjskiego pacjenta, nie mówiąc już o niemieckim esesmanie, ale przerwał mi gwałtownie. Wymieniłem z kolegami spojrzenia, po czym powiedziałem chirurgom, żeby szorowali ręce. Gdyśmy się myli Nell przychodził co kilka minut i pytał, czy jesteśmy gotowi. Pacjent leżał na stole operacyjnym i był przygotowany do operacji przez pielęgniarki. Mrugnąłem do kolegów — lekarzy i powiedziałem Nellowi, że będziemy mogli zacząć operację dopiero po piętnastu minutach szorowania



Ryc. 8. Wywóz dzieci żydowskich z obozu na śmierć.
Rys. D. Wainapel.

rąk. Zanim byliśmy gotowi, pacjent wykrwawił się wewnętrznie na śmierć.

Był to jedyny przypadek, kiedy złamałem przysięgę Hipokratesa, ale nie miałem żadnych wyrzutów sumienia.

W roku 1944 nasz obóz stał się filią sławnego — czy raczej niesławnego — Majdanka¹²⁾. Przekształcono go w obóz pracy. Zorganizowano warsztaty stolarskie, szewskie, krawieckie, mechaniczne. Z Majdanka, przybył na inspekcję doktor Blanke, odpowiednik oświęcimskiego doktora Mengele.

Nasz — tak zwany — szpital konstrukcją przypominał stajnię. Po każdej stronie znajdowały się dwie półki, jedna blisko podłogi, druga o trzy stopy wyżej; biegły one przez całą długość pomieszczenia. Pacjenci leżeli na deskach ściśnięci jak sardynki, dwustu albo trzystu naraz obok siebie. Musiałem badać ich codziennie, co było dla mnie morderczym zadaniem przy moim wrzodzie żołądka, który rozwinął się, kiedy dowiedziałem się o zagładzie mojej rodziny.

Muszę w tym miejscu dodać, że albo Nellowi ktoś⁶⁾ powiedział albo on sam zauważył, że nie mogę stać wyprostowany podczas apelu i zapytał mnie o powód. Wydał następnie zezwolenie, aby zawieziono mnie do szpitala, który znajdował się w mieście oddalonym od obozu o dziesięć czy piętnaście mil¹³⁾. Prześwietlono mnie i postawiono diagnozę: był to istotnie wrzód. Po moim powrocie do obozu Nell przysyłał mi codziennie kwartę mleka, co było czymś niesłychanym. To prawdopodobnie pomogło mi przeżyć. Ale i tak nienawidziłem tego ohydne go mordercy.

W związku ze zmianą „kierownictwa” Nell¹⁴⁾ miał opuścić obóz. Zanim odszedł, popełnił najpotworniejszą zbrodnię w całej swojej karierze. Któregoś dnia bez ostrzeżenia zebrał wszystkie dzieci, wsadził je do ciężarówki i wysłał na śmierć¹⁵⁾. W tym samym czasie Niemcy wywieźli wszystkie dzieci z radomskiego getta wraz z matkami i zabili wszystkich razem.

Wiele tysięcy lat opowiadano o zniewalaniu — prawdziwe albo zmyślane baśnie. Jest legenda o Aniele Śmierci, który zabijał pierworodnych w Egipcie, o Faraonowych rozkazach uśmiercania izraelskich dzieci płci męskiej. Inna opowieść mówi o Herodzie, który

nakazał zgładzić wszystkich małych chłopców. Jego imię stało się synonimem potwora w ludzkim ciele. Ostatecznie jednak, według legendy miał on jakiś powód, jakkolwiek nieludzki, aby wydać taki rozkaz. Tu, w dwudziestym wieku, tak zwany cywilizowany naród wydał na świat ludzi, którzy bez żadnej przyczyny mordowali bez zmruczenia oka niewinne niemowlęta i małe dzieci.

Pamiętam, jak podbiegłem do Nella, aby go zapytać, dokąd jadą dzieci, a on uśmiechnął się mile i powiedział: „Nie martw się, będą miały opiekę”.

Estera, siostra Saby, była wciąż w radomskim getcie, razem ze swą córeczką, Sybillą, która miała wtedy dwa lub trzy lata. To biedne dziecko przetrwało wiele deportacji. Pewnego razu było z Sabą w szpitalu chorób zakaźnych, kiedy Niemcy zabili wszystkich pacjentów a oszczędzili personel. Innym razem matka dała jej środki nasenne i włożyła ją do koszyka, który zakopła częściowo w ziemi, żeby Niemcy nie znaleźli dziecka. W ten sposób dziewczynka została ponownie ocalona w tym czasie, kiedy Niemcy zgładzili wszystkie dzieci z radomskiego getta. Następną próbą uratowania Sybilli było sprowadzenie jej wraz z matką do obozu w Bliżynie.

Pewnego dnia podszedł do nas Nell ze swoim psem Paszą. Dziewczynka okropnie się go bała. „Ile ma ona lat” — zapytał wskazując na dziecko. Nie sięgała mi do kolan. Była pięknym dzieckiem, blondynką o niebieskich oczach. Odpowiedziałam, patrząc mu prosto w oczy: „Ma czternaście lat”. „Czy może pracować”? Odpowiedziałem: „Oczywiście”. Posłaliśmy ją do warsztatu, w którym kobiety robiły na drutach wełniane rękawiczki dla żołnierzy. Po chwili zaczęła się nudzić, wzięła więc nożyczki i dla zabawy zaczęła obcinać palce w gotowych rękawiczkach. Po paru dniach zabraliśmy ją stamtąd i nigdy więcej nie pracowała. Przeszła tyfus w łagodnej formie, ale szybko wróciła do zdrowia.

Wracam do inspekcji doktora Blanka, który wizytował nasz szpital. Wściekł się, gdy zobaczył pacjentów leżących na półkach. Podczas wieczornego apelu, gdy wszyscy więźniowie stali na baczność wywołał mnie z szeregu i zaczął krzyczyć: „Jaki ty szpital prowadzisz”? Zapowiedział, że jeżeli zostanie taki sam bałagan następnym



Ryc. 9. Egzekucja w obozie. Rys. D. Wainapel.

razem, wymierzy mi pięćdziesiąt batów na goły tyłek. Byłem wtedy idiotycznie śmiały, więc bez chwili namysłu rozpiąłem pas i ściągnąłem nisko spodnie w obecności trzech tysięcy więźniów. To musiało zaskoczyć doktora Blank'ego, bo zatrzymał się, spojrzał na mnie i zapytał: „A to co”? Powiedziałem, że może kazać z miejsca wymierzyć mi pięćdziesiąt batogów, ponieważ nie będzie można stworzyć z niczego szpitala z przepisowymi białymi ścianami, białymi łózkami, kocami i bielizną. Nic nie powiedział, odwrócił się tylko i odszedł.

Ale i tak usiłowaliśmy coś zrobić, aby szpital lepiej się prezentował. Zbudowano następne baraki. Ludzie przynieśli rozebrane baraki z Majdanka i znaleźliśmy napisy nabazgrane na belkach: „Dzisiaj (data taka a taka) Niemcy wymordowali nas wszystkich żydowskich więźniów Majdanka. Nie zapomnijcie o nas”! Wiedzieliśmy więc, co nas czeka w niedalekiej przyszłości (...).

Chociaż byliśmy odizolowani od świata drutami kolczastymi, dowiedzieliśmy się o Stalingradzie, a następnie o postępach armii sowieckiej. Wiedzieliśmy, że jest coraz bliżej. Zaczęły wtedy krążyć pogłoski, że mają nas deportować do obozu o najgorszej sławie, do Oświęcimia.

Wiedzieliśmy, że jest to obóz śmierci. Niemcy w komorach gazowych zabijali więźniów przybywających do Oświęcimia, a potem palili ich ciała w krematoriach. Wiedzieliśmy, że tylko niewielu więźniów przeżyło Oświęcim. Dlatego grupa naszych więźniów zaczęła kopać tunel. Chcieli, żebym uciekł razem z nimi, ale ja miałem rodzinę, poza tym wiedziałem, że polscy partyzanci zabijali Żydów¹⁶). Oni więc uciekli, a ja zostałem.

Wkrótce potem dano nam pasiki i pognano do podstawionego wcześniej bydłowego pociągu. Wepchnięto nas do bydłych wagonów, gdzie panowały nieludzkie warunki. Deportowano nas do Oświęcimia¹⁷).

Nie można było z powodu tłoku siedzieć w wagonach. Po paru dniach niektórzy słabsi więźniowie umarli i inni mogli usiąść na ich ciałach. Nasza podróż, bez jedzenia i picia, trwała — jak sądzę — trzy albo cztery dni. Zatrzymywaliśmy się wiele razy, aby przepuścić transporty wojskowe (...).

Wagony były z każdą godziną bardziej zapaskudzone, a odór stał się nie do wytrzymania. Ciała zmarłych wciąż tam leżały, gdyż musiały być dostarczone do Oświęcimia i przeliczone. Esesmani stali na dachach wagonów z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału (...)¹⁸

PRZYPISY OD ZESPOŁU REDAKCYJNEGO

¹⁾ Autor wspomnień będąc w obozie koncentracyjnym nie miał możliwości poznania konfiguracji terenu bliżyńskiego. walorów przyrodniczych ani dziejów tej osady. Miejscowość ta, mająca siedzibę urzędu gminy, położona jest w woj. kieleckim, nad rzeką Kamienną. W 1946 roku zamieszkiwało w niej 940 mieszkańców, a obecnie około 1750. Jest wsią o tradycjach przemysłowych, sięgających XV stulecia. Istniało tu od wieków hutnictwo żelaza, oparte na miejscowej rudzie i paliwie. Wokoło występowały zasobne lasy mieszane, w których wyrabane drewno przetwarzano na węgiel drzewny, niezbędny do produkcji żelaza. Na przełomie XIX i XX wieku egzystowała tu odlewnia stali, a także druga odlewnia maszyn i narzędzi rolniczych oraz odlewnia tzw. galanterii salonowej. Bito tu również w tym czasie własne monety prywatne. W 1938 roku, w istniejącym od dawna ośrodku fabrycznym, uruchomiona została przez państwo. Wytwórnia Węgla Aktywowanego (vide: „Notatnik Bliżyński”, t. I, 1986, s. 7—9).

²⁾ Dominium bliżyńskie było w rękach wielu znanych rodów rycerskich i szlacheckich, jak: Szafranców, Karwických, Tarłów. Świdorskich, Małachowskich, Potkańskich, Wielogłowskich, Giedroyciów, Broël-Platerów i kilku przemysłowców. Po wtargnięciu do Polski w 1939 roku niemieckich wojsk okupacyjnych maszyny i urządzenia z terenu Wytwórni Węgla zostały w 1940 roku zdemontowane i wywiezione przez koncern „Hasag” do Niemiec. Wiosną i latem następnego roku cały ośrodek z powiększonym terenem ogrodzono drutem kolczastym, wzniesiono wieże wartownicze, a w halach produkcyjnych zainstalowano prycze więzienne oraz wybudowano drewniane baraki (vide: Wybór materiałów do dziejów Bliżyna, Bliżyn 1985, s. 121). I tak powstał zespół budowli pod przyszły obóz jeniecki, a następnie przemianowany w obóz pracy przymusowej i koncentracyjny. Komendant obozu rezydował w pałacyku myśliwskim, nazywanym obecnie „Zameczkiem”, w którym mieści się Gminny Ośrodek Kultury. W dawnych halach fabrycznych i dobudowanych po zakończeniu II wojny światowej budynkach mieszczą się teraz Zakłady Farb i Lakierów.

³⁾ Uncja, jednostka masy, w USA 28,35 g.

⁴⁾ W bliżyńskim obozie jenieckim (Stalag XIIC — z siedzibą dowództwa w Skarżysku — miał swe oddziały robocze w Bliżynie, Kielcach, Końskich,

na Świętym Krzyżu i w innych miejscowościach) przebywało od 6 000 do 8 500 wziętych do niewoli żołnierzy rosyjskich. Pracowali oni w kamieniołomach w Gostkowie i w tartaku w Wojtyniowie. Na skutek głodu i panujących epidemii czerwonki i tyfusu oraz braku opieki lekarskiej w ciągu kilku miesięcy niemal wszyscy jeńcy wymarli. Nagie ich ciała grzebano w mogiłach zbiorowych na specjalnym cmentarzu, położonym na terenie wsi Jastrzębia w odległości około 1 km w kierunku południowym od obozu. Wiosną 1942 roku około 200 osób przetransportowano do obozu jenieckiego w Baryczy koło Końskich i do Kielc. W czerwcu tegoż roku pozostało w obozie tylko 30 jeńców (vide: A. Stachurska, Bliżyn w okresie okupacji ze szczególnym uwzględnieniem obozu zagłady, Praca magisterska napisana w Instytucie Historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Kielcach, Kielce 1984, s. 91, 95, 111, 112; Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939—1945, Główna Komisja Badań Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, Rada Pomników Walki i Męczeństwa w Polsce, PWN, Warszawa 1979, s. 225; A. Jankowski, Pomniki walki i męczeństwa na ziemi kieleckiej, Warszawa 1979, s. 11; J. Rell, Bliżyn w okresie II wojny światowej (wybrane problemy historii politycznej, (w:) Dzieje Bliżyna, Materiały sesji naukowej 22 czerwca 1985 r., praca zbiorowa pod red. Z. Guldon, Kielce 1988, s. 68, 69; L. Kaczanowski, B. Paprocki, Miejsca pamięci narodowej 1939—1945 w województwie kieleckim, Biuro Dokumentacji Zabytków, Kielce 1989, s. 32, 33.

⁵⁾ Służbę wartowniczą pełnili w większości nacjonaliści ukraińscy, ale byli w niej również Rumuni, Jugosłowianie i kolaboranci innych narodowości (vide: „Notatnik Bliżyński”, t. I, 1986, s. 80; Relacja komendanta placówki AK w Bliżynie ppor. J. H. Rokity ps. „Lupin”).

⁶⁾ Święto Purim, święto żydowskie i post obchodzone na pamiątkę ocalenia Żydów od przygotowanej przez Hamana (faworyt Xerksa króla perskiego) klęski.

⁷⁾ W literaturze podawana jest również data 23 marca (vide: J. Franecki, Akcja Palestyna, „Radomir”, 1989, nr 1/16.

⁸⁾ Egzekucja Żydów miała miejsce na cmentarzu żydowskim w mieście Szydłowcu.

⁹⁾ Kamieniołomy położone są na terenie wsi Gostków, w odległości około 2 km w kierunku północno-zachodnim od byłego obozu.

¹⁰⁾ Eddi Albert, popularny aktor filmowy w USA.

¹¹⁾ W obrębie Bliżyna partyzanci zastrzelili dwóch esesmanów: 18 kwietnia i 12 maja 1944 r. Jeden z tych wypadków mógł dotyczyć opisanego zdarzenia przez D. Wainapla (vide: Archiwum Parafialne w Bliżynie, Kronika parafii Bliżyn, r. 1944).

¹²⁾ Obóz pracy przymusowej utworzono 8 marca 1943 r. Baraków mieszkalnych znajdowało się ponad 30. Były tam: kuchnia obozowa, łaźnia z komorą dezynfekcyjną, szpital oraz pomieszczenie nazywane karcerem lub bunkrem (miejsce odbywania dodatkowych kar). Między barakami znajdował się plac apelowy. Obóz dzielił się na dwie części: aryjską i żydowską. Dwa baraki stanowiły obóz aryjski, a pozostałe przeznaczone były dla obozu żydowskiego. Dwa rzędy drutów kolczastych otaczały dookoła powierzchnię obozową. Między drutami stały wieże wartownicze, zaopatrzone w karabiny maszynowe i silne reflektory. Wartownicy czuwali w nich całą dobę. Baraki mieszkalne wyposażone były w żelazne piecyki oraz dwupiętrowe prycze drewniane, które w rzędach ciągnęły się przez całą długość budowli (vide: A. Stachurska op. cit., s. 137, 138). Więźniowie pracowali w kamieniołomach w Gostkowie oraz na terenie obozu w utworzonych specjalnych dużych warsztatach mechanicznych, stolarskich, szewskich, krawieckich, bielizniarskich, rękawicznich i innych oraz w sortowniach odzieży pożydowskiej. Produkowano także odzież ochronną dla wojska. Cała produkcja z warsztatów przeznaczona była na potrzeby wojenne armii niemieckiej (vide: Wybór materiałów, op. cit., s. 123). Budynki administracyjne znajdowały się po drugiej stronie (północnej) rzeki Kamiennej, w części parkowej obozu, gdzie były pomieszczenia biurowe, magazyny oraz siedziba komendanta. Przekształcenie obozu pracy przymusowej w Bliżynie w filię obozu koncentracyjnego w Majdanku nastąpiło oficjalnie 24 stycznia 1944 r., a rzeczywiście doszło do skutku 10 lutego tegoż roku. Od tego czasu jego nazwa brzmiała: „K.L. Bliżyn” — Obóz Koncentracyny Bliżyn (vide: A. Rozenberg, Na marginesie badań nad dziejami Żydów podczas okupacji hitlerowskiej w dystrykcie radomskim, „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historii”, XI, 1950; „Notatnik Bliżyński”, t. I, 1986, s. 80; Wybór materiałów, op. cit., s. 123).

¹³⁾ Autor wspomnień nie uściślił miary długości „mila”, czy to miara angielska, czy staropolska, czy może miał na uwadze kilometr? Mógł on być prześwietlony aparatem Roentgena w mieście Skarżysko-Kamienna odległym od Bliżyna o 10 km. albo w Końskich oddalonych od obozu o 28 km.

¹⁴⁾ Autor nie scharakteryzował następnego komendanta obozu, jakim został SS-Oberscharführer (SS Waffen) Heller, a jego zastępcą Uutercharführer Gossberg (vide: „Notatnik Bliżyński”, op. cit., s. 80).

¹⁵⁾ Dzieci żydowskie z obozu koncentracyjnego w liczbie około 70 wywieziono do miejscowości Firlej koło Radomia i tam je stracono 8. XI. 1943 r. (vide: „Notatnik Bliżyński”, op. cit., s. 81; A. Stachurska, op. cit., s. 151; J. Rell, op. cit., s. 69).

¹⁶⁾ Autor wspomnienia nie był zorientowany o udzielaniu przez polskie państwo podziemne i ludność pomocy Żydom. W tym celu utworzono specjalną Radę Pomocy Żydom (krypt. „Żegota”). Żydzi przyjmowani byli do oddziałów partyzanckich. Ze wspomnianej grupy więźniów — Żydów, którzy

uciekli przy pomocy wykopanego tunelu z obozu, kilku schwytali służba wartownicza, a część doczekała się wolności. Niektóre grupowe ucieczki uwięzione zostały pełnym powodzeniem (vide: Wybór materiałów, op. cit., s. 123). Z relacji ppr. J. H. Rokity oraz Z. Sadowskiego i F. Norbblin z Bliżyna wynika, że żołnierze AK jak i miejscowi mieszkańcy pomagali jeńcom radzieckim i więźniom żydowskim pod groźbą utraty życia. Informację na ten temat podaje również w swej książce W. Okoń (vide: W. Okoń, Mój dwudziesty wiek, Wrocław, Warszawa, Kraków, 1990, s. 210—215). Na stan świadomości więźniów mogła mieć wpływ propaganda niemiecka, rozsiewająca pogłoski w obozach żydowskich o rozstrzeliwaniu izraelitów przez polskich partyzantów.

¹⁷⁾ 31 lipca 1944 r. deportowano niemal wszystkich więźniów-Zydów w liczbie około 4 tysięcy osób do obozu zagłady w Oświęcimiu, gdzie 1200 ludzi bezpośrednio skierowano do komór gazowych. Do września pozostało tylko 41 więźniów (w tym 5 kobiet) w celu wykonania demontażu urządzeń warsztatowych i wyeksportowania całego mienia do Niemiec. Ostatni transport opuścił obóz bliżyński w końcowych dniach tegoż miesiąca. Od 8 marca 1943 roku do 31 lipca 1944 r. w obozie przebywało około 10 tysięcy więźniów (vide: A. Stachurska, op. cit., s. 157, 175; Obozy koncentracyjne, op. cit., s. 226). O liczbie zamordowanych więźniów narodowości żydowskiej i miejscu ich pochówku brak jest miarodajnych informacji. Z relacji J. H. Rokity i żołnierza AK T. Ciuka ps. „Trzask” oraz innych mieszkańców Bliżyna można sądzić, że ciała zamordowanych ludzi grzebano w lasu sosnowym, znajdującym się tuż przy terenie obozowym i szosie wiodącej z Bliżyna do Świniej Góry, ale zapewne chowano także zwłoki zgładzonych osób na powierzchni będącej ściśle w gestii władz obozowych.

¹⁸⁾ Na skutek niejasności niektórych zwrotów w przetłumaczonym tekście zespół redakcyjny zastosował skróty.

SPIS TREŚCI:

	Str.
Przedmowa — Stanisław Barański	3
Słowo wstępne — Katarzyna Meloch	5
Byłem więźniem obozu koncentracyjnego w Bliżynie — Dawid Wainapel	9
Przypisy od Zespołu Redakcyjnego	31

SPIS ILUSTRACJI:

	Str.
Ryc. 1. Dawid Wainapel. Autor fot. nieznan	9
Ryc. 2. Szkic obozu koncentracyjnego w Bliżynie. Kreślił: Andrzej Pietrzyk	11
Ryc. 3. Budowle z okresu obozowego. Fot. M. Musiał	13
Ryc. 4. „Zameczek”, rezydencja komendanta obozu Fot. S. Szumielewicz	13
Ryc. 5. Pomnik zamordowanych więźniów obozu i poległych partyzantów. Fot. F. Gładysz	13
Ryc. 6. Egzekucja więźniów w obozie. Rys. D. Wainapel	15
Ryc. 7. Egzekucja w obozie. Rys. D. Wainapel	20
Ryc. 8. Wywóz dzieci żydowskich z obozu na śmierć. Rys. D. Wainapel	24
Ryc. 9. Egzekucja w obozie. Rys. D. Wainapel	27